Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

CZĘSTOCHOWSKA

SPÓŁNOTA

Warszawa — Częstochowa, dnia 18 marca 1934 r. № 6

PISEMKO SPÓŁDZIELNI SPOŻYWCÓW OKRĘGU CZĘSTOCHOWSKIEGO

Pieniądz i moralność

Od jakiegoś czasu w gazetach przeznaczonych przeważnie dla zamożnych czytelników — gazetach po 20 groszy, a biedni kupują zwykle gazety po 10 albo po 5 groszy—spotyka się często artykuły, brzmiące tak, jakby były kazaniem, które ma skruszyć twarde serca bogaczów. Ubolewa się w tych artykułach, że nędzy jest na świecie za dużo, tak jakby jej mogło być w miarę albo za mało. Zwraca się — bardzo delikatnie zresztą — uwagę, że nieładnie jest zarabiać tak dużo wtedy, gdy miljony bezrobotnych nic nie zarabiają. I mówi się, że trzebaby to jakoś zmienić, tylko, niestety, nigdy nie mówi się wyraźnie, jakby to zmienić potrzeba, żeby życie nie było takie okrutne dla olbrzymiej większości ludzi. Wszystkie te kazania dążą tylko do tego, żeby serca tych, którzy posiadają, żeby ich apetyty uczynić mniej obrotnemi niż żarłoczność wilka. Dlatego powtarza się ciągle, że przyczyną wszystkiego zła, całego kryzysu, całej nędzy i głodu jest zanik moralności. Niech i tak będzie, ale dlaczego—ona zanika. Nie brak przecie ani pięknych nauk, ani szlachetnych wzorów do naśladowania, tylko, niestety, wszystko to jest głos wołającego na puszczy. Już przecie blisko 2.000 lat mija od chwili, kiedy syn ubogiego cieśli z Nazaretu nauczał, że królestwo jego nie jest z tego świata, a łatwiej będzie wielbłądowi przejść przez ucho igielne, aniżeli bogaczowi wejść do Królestwa Bożego, a oto do dziś nie widać, żeby ci, którzy chcą swoje własne panowanie na ziemi budować, przejmowali się tą nauką, żeby się modlili nie ustami lecz sercem.

Może to nie ich wina. Jeśli się dziecku od najmłodszych lat mówi: ucz się a będziesz bogatym, staraj się mieć więcej od innych, myśl o sobie, a będziesz potężnym, trudno, żeby ono później, wyrósłszy, widziało, że to jego bogactwo rośnie z cudzej krzywdy, jeśli nawet nie rośnie poprostu z występku.

Na nic się zresztą nie zda kruszyć serca bogaczy; jest coś twardszego od nich, coś, czego oni sami są sługami, — tem czemś jest ich bogactwo, jest cały ten przeklęty system, w którym wartość człowieka mierzy się na złoto, a szczęściem nazywa się posiadanie pieniędzy.

Kto jest szczerym, prawdziwym spółdzielcą, ten się oddawna z dążenia do takiego szczęścia wycofał. My gromadzimy także bogactwa, ale do wspólnego użytku. Używamy pieniędzy tak, jak się używa konia, który ciągnie wóz, albo ognia, który daje nam ciepło. Nie damy się ponieść temu koniowi, ani się nie damy spalić na tym ogniu. Owszem, mówimy także do tych, których chcemy przyciągnąć do siebie, kazania, ale w tych kazaniach, nietylko nawołujemy ich, żeby byli lepsi, żeby się wyzbyli chciwości, ale zgóry zapewniamy ich, że im w tem pomożemy, nie nadając żadnej wartości ich bogactwu, urodzeniu czy znaczeniu w świecie.

Nie wynika stąd, żebyśmy mieli być ubodzy. Na świecie jest dosyć zboża, mięsa i mleka, żeby wszystkich głodnych nakarmić, trzeba tylko dzielić sprawiedliwie zapasy. I przedewszystkiem nie trzeba robić z pieniądza bożka, któremu się wszystko składa w ofierze.

T—t

Kapitały obce

Z wielkiego zamętu dziejowego, z wojny światowej, Polska wyszła jako państwo niezmiernie biedne i ograbione przez różne i liczne obce potęgi. Po wojnie do odbudowy gospodarczej Polska potrzebowała kapitałów, lecz te bynajmniej nie kwapiły się ze zjawieniem bez zapewnienia sobie obfitego i długiego żeru. Powoli stosunki nasze stabilizowały się, kraj własnym wysiłkiem, wysiłkiem chłopa, robotnika i inteligenta utrzymywał się i dawał gwarancję dalszego rozwoju i wtedy dopiero zjawiają się nowocześni „rycerze" przemysłu i zjawia się obcy kapitał, gotów do sutego żerowania.

„Dysponując przygniatającą przewagą sił pieniężnych i organizacyjnych, kładzie swą rękę (a właściwie — łapę) na krajowych placówkach produkcyjnych, i krajowemu spożywcy dyktuje dowolne warunki, obciążając gospodarstwo narodowe nietylko ciężarem odsetek, lecz jeszcze ponadto haraczem w postaci jawnie nadmiernych cen i nieurzędowej reglamentacji krajowej wytwórczości". Tak pisze o obcym kapitale poważny organ młodych ekonomistów „Gospodarka Narodowa" i pisze zupełnie słusznie.

Obcy kapitał, nawet organizujący fabryki, traktuje je tylko jako placówki, pozorujące jego stanowisko w kraju; kapitał tych fabryk i całą organizację handlową trzyma zagranicą i temi środkami dowolnie reguluje swoje dochody, zawsze wyzyskując sytuację.

Ale ciekawe jest, jak on wchodzi na rynek, jak zdobywa sobie pozycję w kraju. Różne drogi prowadzą do tego, nie wszystkie są widoczne i nie o wszystkich wolno nam mówić, ale pozornie ma jedną drogę i to, zdawałoby się, drogę najuczciwszą: zdobycie odbiorcy przez stosowanie narazie tańszych cen produktów.

Naprzykład, ostatnio firma niemiecko-angielska Schicht obniżyła cenę mydła, o czem głosiły wszystkie plakaty i ogłoszenia, do ceny 1.20 za duży kawałek.

Każda gospodyni powinna być tylko z tego zadowolona i my jako organizacje spożywców także, choć nie jest to nic nadzwyczajnego, gdyż niektóre spółdzielnie już w tej cenie nasze mydło „Społem" sprzedawały i cena powyższa może być stosowaną przez wszystkie spółdzielnie.

Ciekawe jest jednak, dlaczego firma Schicht dopiero teraz cenę obniżyła i jakiemi drogami do tego zmierza, by przy niższej cenie utrzymać swoje zyski. Spróbujemy zobaczyć.

Do wyrobu mydła najważniejszym surowcem jest olej kokosowy, który wytłacza się z łupin kokosowych, zwanych koprą; przywóz tych łupin do kraju jest dozwolony bez cła, a przywóz już gotowego oleju musi opłacać wysokie cło. Firma Schicht wybudowała w Gdyni olejarnię, uzyskała prawo bezcłowego przywozu kopry do Polski i dzisiaj rozporządza najtańszym olejem, a mając tańszy surowiec, może obniżać cenę mydła, rujnując wszystkie inne fabryki, które muszą od tej firmy olej kupować po cenie, jakie im ona naznaczy. A przywóz gotowego oleju z zagranicy obstawiony jest dużemi trudnościami i wszyscy uzależnieni są od tej jednej firmy. Pozornie dla kupującego jest to wszystko jedno, byle narazie taniej zapłacił, ale to tylko pozornie, gdyż po zduszeniu konkurencji, ten dzisiaj tak zadowolony nabywca wielokrotnie za to zapłaci, a gospodarka tej firmy do niczego innego nie zmierza, jak właśnie do likwidacji innych fabryk i pozostania samej na placu.

W interesie każdego z nas jest utrzymanie przemysłu krajowego, a co najważniejsza — przemysłu spółdzielczego, jako własnego, zapewniającego nam istotne korzyści i jedynie przeciwstawiającego się wyzyskowi rekinów obcego kapitału.

Decyduje w tej sprawie każdy drobny odbiorca mydła, każda gospodyni domu, każda praczka i każdego dnia, przy zakupie każdego kawałka mydła.

Mamy więc do wyboru: popierać własną gospodarkę, własnego robotnika i tworzyć własny kapitał przemysłowy, czy też wydawać swoje grosze ze szkodą dla kraju, żeby one odpłynęły w świat i tam się zbierały, aby nas więcej jeszcze gospodarczo ujarzmić.

Wybór zdaje się nietrudny!

J. B.

Małomówność pana Zazdrościńskiego

— A co to za jakaś „szanowna mistracyjo", do jakiej to lafiryndy wierny mężulek wypisuje pokryjomu fidrygałki z takiem uszanowaniem?... Co? gadaj ino zara, chłopie żeniaty, ojcze dziecinny! gadaj, co to ma znaczyć?

Z takim to nagłym a niespodziewanym egzaminem wpadła na swego małżonka pani Zazdrościńska, wydzierając mu z pod ręki jakieś zaczęte pismo. Pan Zazdrościński nie stropił się znać tym niby egzaminem. Zrazu zdziwiony, uśmiechnął się potem serdecznie do swej zaambarasowanej małżonki. Wypada bowiem objaśnić, że to człowiek szanowany i uczciwy z tego pana Z. Wiedzieć lubi dużo, mówić mało. I choć, jak wiemy, stare przysłowie taką „cnotę nad cnotami" bardzo wychwala, to jednak jego małżonce czasem sprawia to trochę zmartwienia. Co zaś do pani Zazdrościńskiej, jest to kobieta zasad t. zw. niedzisiejszych, czujnie stojąca na straży nietykalności ogniska domowego. Wiedziała dawno, że małżonek nie ma skłonności spowiadania się przed jej „babskim rozumem" z różnych swoich spraw pozadomowych. To ją martwiło najwięcej. Szczególnie nie mogła sobie darować, że właśnie od pewnego czasu mężulek wplątał się najwidoczniej w jakąś niejasną sprawę. A to listy jakieś otrzymuje, a to znów pisze i wysyła. — E, ptaszku, ja cię złapię — tak myślała sobie pani Zazdrościńska.

Przezorność Bóg jej dał, jako i każdej rozumnej niewieście, a i umiejętności czekania też jej nie poskąpił — więc czekała. Z jednem tylko było jej trudno, że prócz książki do nabożeństwa, to w pisanem słabo się miarkowała. Ale że w upartości swojej pilną była, więc i „arachter" mężowski sylabizowała coraz lepiej.

Odpowiednia chwila właśnie nadeszła.

— Aha, myślisz ptaszku, że ja ślepa... już ja wiem co się święci. Ale dość tego. — Z takiem mocnem postanowieniem w duchu przystąpiła pani Zazdrościńska do egzaminu. Pan małżonek przyparty do muru, musiał teraz nie na żarty jak najdokładniej całą rzecz wyjaśnić.

— Ależ kobieto, co tobie przyszło do głowy, do kogóż miałbym pisać pokryjomu?... „Szanowna Administracjo", to nie do żadnej lafiryndy piszę, ale do administracji pisma spółdzielczego. Jestem członkiem spółdzielni w mieście już trzy lata. Wybrano mnie nawet sekretarzem.

Odetchnęła z ulgą pani Zazdrościńska. Że jednak była bardzo ciekawą, co to jest spółdzielnia i poco istnieje, musiał więc rad nie rad pan małżonek ze wszystkiego zdać sprawę. Ponieważ nie tak łatwo jest sens nowej sprawy zrozumieć, to też odtąd przez długi czas najwięcej o spółdzielni mówiono w domu państwa Zazdrościńskich. A obok książki do nabożeństwa znalazła się nawet „Spólnota warszawska" i inna literatura.

— I cóżeś ty za mąż, żeś mi już dawno o tej spółdzielni nie opowiedział dokładnie? Że to ludzie nawet na najgorszą biedę tak dobry sposób wymyślili. I tyś mężu przez trzy lata ani razu nie pomyślał o tem, że aby naprawdę ludzką biedę w kozi róg zapędzić, to trzeba, żeby wszystkie rodziny razem z kobietami dowiedziały się o spółdzielczości? Tyś o tem nie myślał?

I pan Zazdrościński za swoją małomówność nieraz jeszcze słuchać musi ostrych wymówek od swej małżonki.

Wład. Bońkowski

Żarty i dowcipy

— Słuchaj! Zdaje mi się, że zapomniałeś o tem, żeś mi winien 20 złotych.

— Ach daj mi trochę czasu. Zapomnę napewno.

*

— Śniło mi się, żem się Pani oświadczył, panno Zofjo. Cóżby to miało znaczyć.

— W każdym razie to, że pan jest we śnie odważniejszy i rozsądniejszy niż na jawie.

*

Tym kawałkiem mięsa to można było sobie buty podzelować.

To czemu pani tego nie zrobiła.

Bo nie miałam odpowiednio twardych gwoździ do podbicia.

Z Przystajni

Przystajń, to duża, ładnie rozbudowana wieś, mająca kościół, urząd gminy i spółdzielnię spożywców, położona o 5 km. od granicy niemieckiej i 3 klm. od stacji kolejowej Panki. Wjeżdżając do Przystajni, odnosi się miłe wrażenie, że to wieś poznańska, taka inna od okolicznych wsi, które wyglądem swoim przypominają raczej wsie polskie: zabudowania stawiane bez planu, chaty niskie, obdarte, słomą kryte.

W tej to miłej Przystajni, w niedzielę, dnia 4 marca r. b. odbyło się walne zgromadzenie członków tutejszej Spółdzielni Spożywców „Jedność", która prowadzi już 3 sklepy spożywcze, mając zorganizowanych 268 członków czynnych, żywo interesujących się sprawami swej Spółdzielni, czego dowodem jest wyjątkowo punktualne przybycie na zgromadzenie 146 członków, w tem znacznej ilości kobiet. Władze Spółdzielni przygotowały się do walnego zgromadzenia nieodpowiednio: nie wywieszono sztandaru spółdzielczego przed salą obrad, ani przed sklepem Spółdzielni, brak było miejsc dla członków, brak nawet krzeseł dla prezydjum, tłok i pośpieszne spisywanie członków obecnych; wszystko to razem wzięte znacznie obniżało powagę najwyższego organu Spółdzielni, jakim jest walne zgromadzenie członków.

Spółdzielnia jest finansowo mocna, własne fundusze, stanowiące zł. 12,000 zupełnie wystarczają do obrotu, który wynosi za ostatni rok zł. 55,000. Gospodarka dość dobra i oszczędna, nadwyżka wynosi zł. 1900 co pozwoli na wypłacenie dywidendy pomimo kryzysu, jaki przeżywamy. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to nieszczęście, które przewróciło już tyle naszych niegdyś zdrowych i ładnie gospodarczo rozwijających się spółdzielni. Nieszczęsne kredyty w naszych spółdzielniach zaraziły i tutejszą „Jedność". W bilansie za rok 1932 kredyty figurują w sumie zł. 6,000 — obecnie zł. 5,250; ściąganie kredytów idzie bardzo ciężko i Spółdzielnia z tego tytułu poniesie znaczne straty. Po sprawozdaniu zarządu i odczytaniu listu polustracyjnego Związku, obecny na zgromadzeniu delegat Rady Okręgowej, domagając się zastosowania do żądań Związku, odnośnie całkowitego zamknięcia kredytów, przestrzegał członków przed smutnemi następstwami, jakie one za sobą pociągają. Po długiej dyskusji powzięto uchwałę, ograniczającą kredyty do 5 zł. dla każdego członka, urzędnicy zaś kredytujący w Spółdzielni mają składać w ciągu roku po 5 zł miesięcznie na wkład, na częściowe uwolnienie się z kredytów.

Z przemówień kilku mówców widać było troskę członków o dobro Spółdzielni i jej rozwój; przytoczono wiele ciekawych przykładów wyzysku prywatnych sklepikarzy nawet polskich, gdy niema sklepu spółdzielczego.

Dyskusja i obrady walnego zgromadzenia stały stosunkowo na niskim poziomie; widoczne było małe wyrobienie miejscowego społeczeństwa. Należałoby częściej urządzać walne zgromadzenia, odpowiednio się do nich przygotować, nadać im charakter bardziej uroczysty i poważny, umiejętnie prowadzić obrady, by wypełnić lukę i podnieść autorytet Spółdzielni.

Władzom Spółdzielni należy życzyć dalszej owocnej pracy nad rozwojem swej placówki spółdzielczej i szybkiego, póki czas, zawrócenia z błędnej drogi, którą jest sprzedaż na kredyt.

f-i.

Choroby zagraniczne

Niejednokrotnie nam zarzucają, że spółdzielnie nasze nie umieją tak dobrze wyczuć potrzeb, nastrojów i wymagań konsumentów, jak sklepy prywatne. Tych zarzutów nie możemy przyjąć, bo jeżeli chodzi o istotne zdrowe potrzeby naszych konsumentów, my je odpowiednio zaspokajamy. Nie możemy natomiast podsycać niezdrowych tendencyj naszych odbiorców. Pisaliśmy już niejednokrotnie o tem, jaką słabość czują u nas do wszystkiego, co pochodzi z zagranicy. Spółdzielnie od samego początku przekonywały o szkodliwości tych tendencyj, natomiast sklepy prywatne skwapliwie z tego skorzystały, nazywając te słabostki oznaką „dobrego tonu".

To też u nas zaroiło się od „zagranicy". Wszystko śpieszyło odpowiednio się prze-

malować. Sklepy, restauracje, warsztaty rzemieślnicze, wysilały się na różne niedorzeczne pomysły, które ich zdaniem najbardziej po zagranicznemu reprezentowały ich przedsiębiorstwo. Pomijając ogólną niezdrową tendencję tych dążeń, trzeba podkreślić, że noszą one przeważnie charakter naiwny i śmieszny.

*

Nędzna chałupa. Przy drzwiach podłużny szyld z napisem „Salon de Paris"; na szyldzie sylwetka kobiety z końskim profilem i krzywym nosem, reprezentującej elegantkę paryską. Nad domem drugi szyldzik, wielkości książki, gdzie na zielonem tle widnieją niebieskie nożyce i napis: „Damski krawiec paryski Motel Kuzniec". Wchodzę, bo chcę ujrzeć mistrza z nad Sekwany. Mały pokoik, porozrzucane łachmany. A oto i mistrz. Lat około 40, brudny, w podartej kamizelce, włosy rozczochrane, broda nieogolona. Na nosie ledwie trzymają się okulary, bo jeden drucik jest umocowany woszczyną, drugi przywiązany nitką. — Pan jest krawcem? — Nu? — Czy pan faktycznie jest z Paryża? — Nie, a co takowo? — Bo na szyldzie napisano: „krawiec paryski". Dlaczego to? Mistrz mody podejrzliwie spojrzał na mnie przez mętne szkiełka okularów i nic nie mówiąc, uniósł dogóry wskazujący palec. Prorok. Nieco zdziwiona, przygotowałam się słuchać kazania. Mistrz milczy. — Co? Idąc wzrokiem za jego palcem, ujrzałam na ścianie w ramce „Dyplom", wypisany w 2 językach — „Diplôme" — „Dyplom". Nie wiem, dlaczego to dyplomy są pisane w dwóch językach, ale to właśnie wbiło skromnego Motela w taką dumę. — Wszystkie chcą fasonów francuskich, nieśmiało wyjaśniał mistrz.

*

Głuchy zaułek. Mały szyldzik (od dużego są większe podatki) głosi, że tu mieści się „Pracownia damskiej bielizny „Szyk wiedeński" Pesia Kunica". Całą tę pracownię można czapką nakryć, okno zakryć ręką, zamiast okiennicy. Dając taką nazwę swojej pracowni, pani Pesia Kunica musiała czuć wielką urazę do wiedeńczyków wogóle, a bieliźniarek wiedeńskich w szczególności, bo już większego upokorzenia dla „szyku" stolicy naddunajskiej chyba nie mogło być.

— Panie z Małopolski mówiły mi, że najładniejszą bieliznę kupowały kiedyś we Wiedniu, wytłumaczyła mi właścicielka pracowni.

*

Hotele przeważnie włoskie, chyba dlatego, że we Włoszech jest dobrze rozwinięta turystyka. Nazwy włoskie bywają nieraz bardzo trafne. Np. pokoje umeblowane „Wenecja", na jednej z ulic na przedmieściu. Ulica niebrukowana, staje się po deszczu jednem długiem pasmem wody. Wprawdzie nie ślizgają się tu zgrabne gondole i nie słychać wieczorami dźwięków serenady, ale zato rozkoszują się z krzykiem domowe kaczki i gęsi.

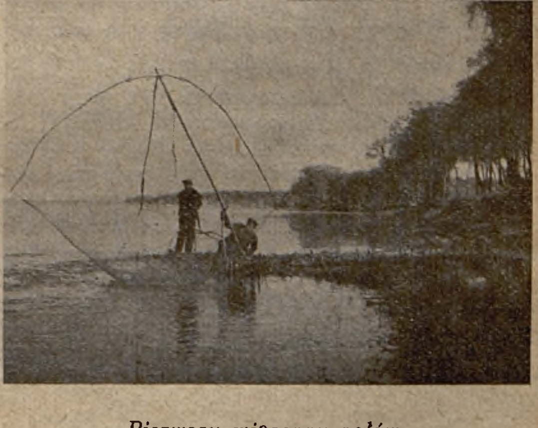
*

Fryzjernie francuskie, wszystko to „salony", chociaż mają często wygląd psiej budy. Kina — bądź włoskie, bądź francuskie. Restauracje — przeważnie francuskie, rzadziej — bary amerykańskie, a jeżeli i spotyka się jakaś knajpka „Strzecha Polska", to chowa się gdzieś w zaułku, jakgdyby się miała wstydzić swego krajowego pochodzenia.

Naogół najliczniej jest reprezentowana u nas Francja.

Wszystko zagraniczne, a cóż u nas jest swego i czy mamy wogóle rzeczy własne? Owszem — mamy własną niezaradność i chęć małpowania innych.

M. Seledczykówna



Pierwszy wiosenny połów

PORADY DLA GOSPODYŃ

Apteczka domowa

„Skaleczyłem palec", „stłukłam kolano", „oparzyłam rękę".

Oto skargi, które kierują do matki — gospodyni dzieci i wszyscy domownicy. To też zawsze pamiętać należy o tem, że *leczyć naprawdę może tylko lekarz*, natomiast my — gospodynie *musimy umieć zapobiegać chorobie i udzielać pierwszej pomocy przy wypadkach*. Trzeba więc mieć do tego pod ręką najprostsze środki, gdyż odpowiednia pomoc udzielona natychmiast może zapobiec poważnym i przykrym następstwom.

W miejscowościach, w których niema lekarza i apteki, powinny być zorganizowane dobrze zaopatrzone apteczki przy spółdzielniach, kółkach rolniczych, kołach gospodyń, związkach młodzieży i strażach pożarnych, które powinny być w każdej apteczcę.

1. *Jodyna* do odkażania małych ran. Jodynować należy watą, okręconą na drewnianym pręciku. Nigdy korkiem. Przechowywać trzeba jodynę w butelce z ciemnego szkła, ze szklanym korkiem.

2. *Oliwa z wodą wapienną* do okładania oparzelizny.

3. *Benzyna oczyszczona* w szczelnie zakorkowanej butelce do obmywania brzegów ran. Oblewać kawałki waty, nie dotykając do niej brzegiem szyjki butelki.

. *Spirytus salicylowy* do zwilżania swędzących miejsc skóry, wyprysków i bąbli przed posypaniem pudrem — talkiem.

5. *Puder — talk* w tekturowem lub metalowem zamkniętem pudełku, konieczny przy pielęgnacji dzieci.

6. *Płyn Burowa* do okładów. 1 łyżka na szklankę wody. Nie używać płynu Burowa do okładów na oczy.

7. *Amonjak* w małej buteleczce szczelnie zamkniętej, do wąchania przy omdleniu i mdłościach, do smarowania ukąszeń os, pszczół i t. p.

8. *Spirytus denaturowany* (skażony) do stawiania baniek i do obmywania rąk przy opatrunkach po dokładnem wymyciu ich mydłem, gorącą wodą i szczotką.

9. *Soda oczyszczona* do posypywania niewielkich oparzelin i do zażywania przy „zgadze" bardzo rzadko i w małych ilościach „na końcu noża" z wodą.

10. *Kwas borny* do płókania gardła i do okładów na oczy. 1 łyżeczka na 1 szklankę wody.

11. *Wazelina oczyszczona* do smarowania nosa przy katarze i do smarowania spierzchniętej skóry na rękach lub twarzy.

12. *Termometr* do mierzenia gorączki.

13. *Kilka bandaży* szerszych i węższych w opakowaniu. Jeżeli mamy bandaże zrobione w domu z materjału lub kupne, ale prane, to powinny być przy praniu wygotowane i wilgotne wyprasowane gorącem żelazkiem, odrazu zwinięte i zapakowane.

14. *Wata oczyszczona* w paczce lub w szklanym zamkniętym słoiku.

15. *Gaza sterylizowana* w małej ilości—pocięta w kawałki do przykładania na rany.

16. *Lignina*, czyli wata drzewna, tańsza od waty bawełnianej, przydatna do okładów pod ceratką.

17. *Ceratka* mała i duża, do okładów.

18. *Flanela*, do większych okładów na ceratkę.

19. *Sznurek* lub rurka gumowa (t. zw. dren) do przewiązywania kończyn przy silnie krwawiących ranach powyżej zranionego miejsca i nie dłużej niż 1 godzinę.

20. *Pręciki do waty.*

21. *Drut metalowy* do lontu przy stawianiu baniek.

22. *Irygator duży* (hegar) z kanką prostą kauczukową i szklaną wygiętą — do przemywania dla kobiet. Gruszka gumowa do lewatyw dla dzieci.

Oprócz tego można mieć w zapasie kilka proszków na ból głowy, których jednak używać trzeba rzadko i ostrożnie; częste bóle głowy są objawami złego stanu zdrowia i proszkami nie dadzą się wyleczyć. Potrzebne jest także małe pudełeczko z nadmaganianem potasu (ciemno-fioletowe kryształki) do płókania ust przy skaleczeniu i do płókania gardła. Rozpuszczać trzeba odrobinę kryształków w szklance wody, tak aby woda miała lekko liljowe zabarwienie.

Z tak zwanych ziółek do użytku domowego nadaje się: rumianek, mięta, czarne jagody, maliny, przydatne przy niedomaganiach kiszek i żołądka; trzeba je przechowywać w woreczku płóciennym. Inne zioła trzeba bardzo umiejętnie używać, a zbierać je może tylko ten, kto zna gatunki roślin.

Odpowiedzi redakcji

P. R. W. Pismo skierowaliśmy do Wydziału Prawnego, który odpowie bezpośrednio osobiście.

P. W. P. Drukować nie będziemy. Trzeba się uczyć i ćwiczyć, żeby dostatecznie opanować formę.

P. Cz. B. Żądaną książkę Dział Wydawnictw przesyła pocztą.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

W „Rolniku Śląskim" podane są ciekawe obliczenia, ilustrujące *kryzys na wsi:* oto — w latach 1927—1928 rolnik mógł kupić 10 kg cukru za 36 kg żyta, a w lutym 1933 za tę samą ilość cukru płacił 91 kg żyta — więcej niż dwukrotnie; za 10 kg soli w pierwszym okresie płacono 8 kg żyta, a w drugim 22 kg; za 5 garnków emaljowanych w pierwszym okresie płacono 25 kg żyta, a w drugim 84; za 10 kg nafty w pierwszym okresie 16, w drugim 47; za 10 dekagr. tytoniu w pierwszym 14, w drugim 47; za 10 metrów madepolamu w pierwszym 51, w drugim — 91 i t. d.

A teraz jak wyglądają przeciętne ceny inwentarza żywego płacone producentom-rolnikom. W 1928—29 koń roboczy 386 zł., krowa dojna 419 zł., a w 1933 r. koń — 170 zł., krowa 156 zł.

Liczby powyższe dostatecznie odzwierciadlają tak zwaną „rozpiętość nożyc", czyli różnicę między cenami rolników i cenami u przemysłowców.

Wydatki, ponoszone przez przemysł i handel w Stanach Zjednoczonych Ameryki P. na reklamę zapomocą tylko opakowania wynoszą 66.000.000 dolarów. Wydatki te wracają się podobno dziesięciokrotnie, ale czy są konieczne?

Z obliczeń Ligi Narodów wynika, że na całym świecie spadły znacznie w roku ubiegłym obroty handlu zagranicznego. Naprzykład, przywóz do różnych krajów spadł z 14 miljardów dolarów na 12 miljardów w złocie. Ogólnie można przypuścić, że obroty światowe w r. 1933 stanowiły 35 procent obrotów z r. 1929.

W najbliższym czasie w Ameryce ma być wprowadzony trzydziestogodzinny tydzień pracy prawie we wszystkich gałęziach przemysłu. Ma to dać zatrudnienie około miljona bezrobotnym przez przemysł prywatny.

W Ameryce ustanowiony będzie specjalny podatek od konsumentów mąki i tkanin bawełnianych. Ludność miejska spożywająca mąkę i kupująca tkaniny bawełniane płacić będzie specjalny podatek na rzecz rolników, którzy zmniejszą obszarv uprawy zboża i bawełny oraz zmniejszą pogłowie nierogacizny i wytwarzanie mleka. Chodzi o zmniejszenie produkcji i przez to zmniejszenie podaży na rynku, co spowoduje skolei podniesienie cen na niektóre produkty rolnicze.

Do miejscowego sklepu narzędzi rolniczych zjawił się pewien rolnik celem zakupu wideł. Po długiem poszukiwaniu sprzedawca przedstawił mu jakoby „najlepsze" i „najtańsze", ozdobione stempelkiem zagranicznym.

„Nie, panie, odpowiedział rolnik, widły to już chyba mogą być polskie". — To była mądra i godna odpowiedź!

Z nowych dobrych książek

W powodzi dobrych i złych książek zagranicznych autorów cieszą się dużą poczytnością i u nas powieści amerykańskiego pisarza Zane Grey'a, który w utworach swych opisuje zazwyczaj przygody przybyszów na ziemie czerwonoskórych. Ostatnia jego powieść *Prawo Pustyni* — wydanie M. Arcta przedstawia barwny opis życia pierwszych dzielnych osadników amerykańskich.

Czytając dobre powieści — czytajcie również lekturę spółdzielczą.

STOWARZYSZENIE — TO MY

Co powiecie o żonie szewca, która idzie kupić buty do drugiego szewca?

Co powiecie o żonie piekarza, która chleb kupuje w sklepiku naprzeciwko?

Powiecie, że brak im zdrowego rozsądku.

Powiedzcie to samo o sobie — kiedy należąc do stowarzyszenia spożywców, idziecie po produkty do sklepiku naprzeciwko.

Wszak stowarzyszenie, to my!

Tam dla nas i na nasz rachunek sprowadzono towary. — Nie kupiono ich dla zysku tylko dla rozdziału pomiędzy nas;

Jeśli zakupiono tysiące funtów słoniny, to obliczono w tem te dziesięć, czy pięć funtów, które zakupię ja, czy ty.

Jeżeli tymczasem pójdę i kupię tę słoninę w prywatnym sklepie, tracimy na tem wszyscy, wszyscy stowarzyszeni.

Bo kooperatywa musi zapłacić za kupiony towar.

Z czegóż zapłaci, jeśli my go nie wykupimy i nie zwrócimy poniesionych kosztów?

Zapłacić go musi z kapitału rezerwowego.

Zmniejszony zaś rezerwowy kapitał musi dopełnić z sum nadebranych od nas za inne towary. A więc z tych sum, które mają iść na ulepszanie i rozwój stowarzyszenia i na nasze dywidendy.

Naiwność ludzka

Dzień jarmarczny. Rynek. Długim szeregiem ustawiły się wozy wieśniacze. Grupa wieśniaków, złożona z 20 — 30 osób, utworzyła żywe koło, pośrodku którego stoi stolik. Na stoliku 3 — 4 kg. cukierków w woreczku. Zbliża się policjant. Sprzedawca cukierków wciąga głowę do kołnierza i monotonnie powtarza: — Cukierki, dobre cukierki po groszemu sztuka, tylko po groszemu! Policjant nieufnie spogląda na tego „kupca" i oddala się. „Kupiec", trochę poczekawszy, ogląda się w stronę, gdzie znikł posterunkowy, i cała jego postać raptem przeistacza się: wyprostowuje się, wyrasta o całą głowę, głos nabiera werwy. — Darrmo, darrmo, cukierki darmo! Para, niepara! Tylko za 50 gr. Kto zgadnie, zabiera cukierki darrmo, darrmo! Szczęścia może próbować każdy, należy się i owszem! Nalatujcie, naskakujcie i cukierki zabierajcie! Darrmo, darmo!

Cukierki liche, z miejscowej „fabryki", kosztują może półtora złotego kg. Na kilogram idzie ich sztuk ze 400. Od ściskania w ręku, od liczenia, zrobiło się z nich jakieś mydło. Ale tego nikt nie widzi. Wszystkich sugeruje „szczęście". Za 50 gr. można kupić 50 — 60 szt. dobrych społemskich „miodówek" albo „pszczółek", a tych co najmniej sztuk 120. Ale któż to ze wsi kupuje za 50 gr. cukierków. Wypędzonoby z domu. Co innego spróbować „szczęścia" i wygrać 15 — 20 takich cukierków. Ale szkoda 50 gr. Zarobków niema. Za 50 gr. można kupić bochenek białego chleba, wzgl. pół kilo śledzi, albo prawie litr nafty.

Nastrój niezdecydowany. Wtem ktoś przedziera się przez ten żywopłot, podchodzi do stolika, dając 50 gr. Chce spróbować. Wyrzuca na stół garść cukierków. Para! Liczą. Zgadł. Dookoła zazdroszczą. O, komu szczęście! Tak, ten łyknął, jak żaba mułu po deszczu. To cichy wspólnik od wywoływania hazardu. I faktycznie nastrój zmienia się. Występuje młody wieśniak i rzuca na stół półzłotówkę.

— Radźcież, ludzie, co mam mówić. Para, czy niepara? Wyraz twarzy tragiczny, jakgdyby miał odbyć podróż na księżyc: jechać, czy nie jechać?

— Mów, Kostek, para! — Też powiedział. Tamten wygrał na „parze", to cóż sądzisz, że i drugi raz para wygra? — Dziadziu Maksymie, ty tu stoisz od rana, powiedz: para, czy nie-para lepiej? Stary Maksym „sapnął" fajką, otoczył się chmurą dymową, splunął i lakonicznie rzucił:— Mów para... albo niepara...

— Durniu, nie mów niepara, bo sam będziesz bez pary, wdowcem zostaniesz. To skutkuje. Chłopiec niedawno ożenił się. Twardym głosem wymawia: para! Wyrzuca się garść cukierków. Wszyscy w naprężeniu czekają. Grający chce liczyć; nie, ja będę liczył, przerywa „przedsiębiorca". Tylko uważajcie, bo później powiecie, że was oszukuję. Tu szczęście wygrywa. Liczę: para, para, para i jeszcze jedna para! Raz, dwa trzy i jeszcze jeden raz! Raz... i pół! Nie zgadłeś, bratku! Przegrałeś!

Cukierek „regulator" schowany w palcach zawsze daje możność operować wg. uznania właściciela tej szulerni.

Otoczenie dzieli się na kilka grup. Rozważają żywo krok Kostka. Tak strategicy po bitwie rozważają kroki zwyciężonego.— Tu trzeba było zrobić tak, a tam owak i byłoby dobrze. Jakiś młodzian zaczął coś dowodzić staremu Maksymowi. Ten oburzył się: — Breszesz, szczeniaku, zobacz, ja zagram. Kombinator cukierkowy szybko się zorjentował w sytuacji i dał wygrać. — Co, widzisz, smarkaczu, radośnie zawołał stary, a to masz tobie, jajko kurę będzie uczyło!

Nowożeniec próbował „szczęścia" jeszcze kilka razy, ale bez skutku. Dookoła stolika zrobił się prawdziwy młyn. I tak do samego wieczora. Niedziw, że za dzień „obrót" wyniesie sto i więcej złotych, a tu obrót to 100% zysk.

A powiedzieć ludziom: chodźcie na godzinkę do spółdzielni na zebranie — okaże się, że nikt nie ma czasu, że czas jest bardzo drogi.

— Zbierajcie po 50 gr. na udziały, załóżcie spółdzielnię. Owszem, do założenia spółdzielni wszyscy chętni, ale pieniędzy na to niema.

J. D—k

Adres Red. i Administr.: Warszawa-Mokotów, Grażyny 13. Tel.: Redakcja 8-88-73, Adm. 8-39-65

Redaktor: EDMUND ZALEWSKI | CENA 6 GR. | Wydawca: ZW. SP. SP. RZ. P.

Druk. M. Arct, Warszawa, Czerniakowska 225.